Źródło: Przegląd Katolicki, 1990, nr 23-26.

Władysław Reymont

Misja

W kilku najbliższych numerach „PK" drukować będziemy fragmenty mało znanej książki Władysława Reymonta pt. „Z ziemi chełmskiej - wrażenia i notatki". Tekst ukazał się pierwotnie w warszawskim „Tygodniku Ilustrowanym" w 1909 r. Pozycję tę przygotowuje w formie reprintu Wydawnictwo Archidiecezji Warszawskiej.

Misja (z łac.) - posłannictwo; tu - praca duchowieństwa nad ożywieniem religijności przez kazania i spowiedzi. Misja w ziemi chełmskiej miała szczególne znaczenie duchowieństwo katolickie w największej tajemnicy przekradało się do trudno dostępnych miejsc w lasach, aby tam odprawić Mszę św. wobec zgromadzonych tłumów unitów, nauczać, chrzcić, dawać śluby, słuchać spowiedzi, komunikować. Księżom za taką misję groziło za strony rządu rosyjskiego zasłanie na Syberię. Prześladowanie unitów w Chełmszczyźnie trwało aż do r. 1905, kiedy, na skutek rozruchów rewolucyjnych w całej Rosji, rząd ogłosił w kwietniu akt, czyli ukaz tolerancyjny, zezwalający na przechodzenie z prawosławia na inne wyznanie: wtedy lud chełmski gromadnie przyjmował obrządek łaciński.

Ktoś zapukał w okno i jakaś twarz mignęła mi za szybami.

Wziąłem rewolwer i wyszedłem na ganek. Pod drzwiami stał jakiś człowiek. Zajrzał mi z bliska w twarz i szepnął:

- Jutro w nocy misja!

- Gdzie?

- W samo południe zajedzie przed karczmę wóz w siwego konia. Dwóch chłopów będzie nim jechało. Niech się pan do nich przyłączy, oni zaprowadzą.

- Skąd jesteście? - spytałem go mimo woli.

- Z całego świata! - odpowiedział bardzo szorstko.

Prosiłem go usilnie, żeby wszedł do domu i nieco odpoczął.

- Nie pora! Muszę budzić, które jeszcze śpią - rzekł jakimś biblijnym tonem.

- A czy mogę zabrać żonę na misję?

- Za daleka droga dla dziedziczki. A przy tem kobiecie łatwiej umrzeć, niźli dochować sekretu. - Zabierał się do odejścia.

- Zostańcie chociaż do świtu. Noc ciemna i roztopy.

- Znam tu każdy rów, a kto z dobrą nowiną śpieszy, nie zbłądzi! Spóźniłem się już, bo

czekałem, aż odjadą strażnicy i ksiądz.

- Ale proboszcz będzie na misji?

- To nie nasz, to tylko taki zwyczajny parafialny propinator![1]

Zdziwiło mnie to określenie w jego ustach, lecz nim się zdążyłem odezwać, już odszedł. Słyszałem tylko człapanie po błocie i skomlenie psów, które go odprowadzały jakoś bardzo przyjacielsko.

A nazajutrz, w samo południe, przebrawszy się odpowiednio, aby nie zwracać na siebie uwagi, kazałem założyć do bryczki fornalską, mocną szkapę i pojechałem. Przed karczmą stał wóz, zaprzężony w siwka, i siedziało dwóch chłopów, a skorom dojechał i chciał wyminąć, ruszyli przodem, nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi.

Drogi były okropne, wyboiste i podobne do dna bagnistych rzek. Jechaliśmy noga za nogą, omijając wsie i takimi krętymi wertepami, że po jakimś czasie zupełnie przestałem się orjentować[2].

A wbrew moim przewidywaniom, dzień byt bardzo piękny, prawdziwie wiosenny, świeciło słońce, śpiewały skowronki, polśniewały szeroko rozlane wody na łąkach, a miejscami, na cieplejszych gruntach, już ruszały oziminy.

Przed jakąś wsią ogromną, nad którą wynosiły się zielone kopuły cerkwi, przystanęli moi przewodnicy, a jeden zawołał do mnie:

- Na końcu wsi, po prawej ręce, ostatnia chałupa.

Skręcili na boczną dróżkę, a ja śmiało wjechałem do wsi.

Na drodze, z obu stron obudowanej domami, było pełno kałuż, przedświątecznego rwetesu i psów, które mnie przeprowadzały zajadłem szczekaniem. Przed cerkwią, przerobioną z kościoła, stał strażnik, przyglądający mi się tak uważnie, że mimo woli zaciąłem konia do pośpiechu. Zauważyłem też, że z wielu domów wyjeżdżano w pole z pługami a bronami na wozach, co wydało mi się dziwnem, gdyż grunty mieli niskie i jeszcze wszędzie po bruzdach siwiały stojące wody. Pod jakimś domem, na kupie bali siedziało paru chłopów, i kiedym ich wymijał, podnieśli się, rzucili mi 'Pochwalony" i pociągnęli za mną. Wieś ciągnęła się ze dwie wiorsty, i kiedym się wreszcie znalazł na końcu i zacząłem się rozglądać za ostatnią chałupą, jeden z chłopów, idących za bryczką, powiedział półgłosem:

- Strażnik idzie za panem! Trzeba skręcić na prawo, przejechać koło chałupy, a zawrócić za budynkami koło stodoły! - I przeszedł, nie zatrzymując się ani chwili.

Zjechałem na bok. Wąska dróżka, obsadzona gęsto wierzbiną, wiodła obok wielkiego domu, stojącego w takim gąszczu drzew, iż ledwie majaczyły bielone ściany i poszycia dachów.

Obejrzałem się nieznacznie: strażnik przyczaił się na skręcie, pilnie mnie spoza drzew obserwując, a chłopi maszerowali gęsiego ku lasom niedalekim.

---

1 Propinator (z łac.) - dzierżawca karczmy z wyszynkiem trunków; parafialny propinator - nazwa pogardliwa miejscowego proboszcza.

2 wyznawać się w położeniu.

Podjechałem bliżej, wypatrując już z pewną niecierpliwością jakiego bądź wjazdu. Ale cały dom wydał mi się jakby opuszczony, okna miał zasłonięte słomianemi matami, drzwi zawarte i bramę w płocie zamkniętą na kłódkę, a chociaż bardzo głośno popędzałem konia i trzaskałem z bata, nikt się nie pokazywał, nawet pies nie zaszczekał. Aż dopiero, kiedy skręciłem za stodołę, otwarły się naraz jakieś wrota i, skorom w nie wjechał, zatrzasnęły się natychmiast, zaś stary, siwy chłop, który mi otwierał, rzekł dobrotliwie:

- Konia można postawić pod szopą. - I poszedł, nie troszcząc się o mnie więcej.

Stało już tam kilka tęgich mierzynków[3]. Poszedłem z ochotą. W izbie było prawie ciemno, zasłonięte okna przesączały bardzo mało światła, ale w czerwonawych brzaskach komina dojrzałem kilkanaście osób, siedzących pod ścianami. Nikt mnie jednak nie powitał, jakby nie zauważyli mojego wejścia, tylko coś ciszej zaszeptali między sobą i poczułem, że mnie okrążają badawcze, nieufne spojrzenia. Próbowałem zawiązać rozmowę. Odpowiadali bardzo nie- chętnie, zbywająco. A kiedy zacząłem dość natarczywie rozpytywać się o misję, odpowiedział mi któryś niecierpliwie:

- Jak przyjdzie pora, to wiadomo będzie.

Dopiero kobieta, widząc moje odosobnienie, objaśniła ich, kto jestem. Wyciągnęły się do mnie twarde dłonie, ktoś dorzucił gałęzi na komin, światło buchnęło na całą izbę, a ja mogłem się przyjrzeć zebranym. Nikogo jednak nie znałem osobiście, ale dobrze znałem ten typ bohaterski[4], te surowe a pełne dobroci twarze, te oczy nieulękłe i te męczeńskie głowy „opornych".

- Chyba obcy tutaj by nie trafił! - powiedziałem, witając się z każdym z osobna.

- Ale zawsze trzeba ostrożnie. Zły człowiek, jak smród, wszędzie się wciśnie.

- Trzeba się nieraz strzec własnego cienia.

- A to ciężko się uchronić! Mało to „duszołapów"[5] węszy za każdym opornym!

- Parę dni temu wyniuchali[6] Michała Klimiuka z Wisznicy.

- Co się stało? - odezwały się strwożone głosy.

- A wzięli go! Bo to, panie, za ślub katolicki! - zwrócił się do mnie. - Brał go jeszcze jesienią w Krakowie. Po powrocie ona, że to pochodziła z drugiej gminy, zgodziła się do męża niby to za służącą, i żyli sobie, jak Pan Bóg przykazał. Aż tu którejś nocy strażnicy przycapnęli ich razem, przetrzęśli całą chałupę, że nawet poszycia pozdzierali z dachów, i znaleźli ślubną metrykę! Co się im przy tem zaraz dostało, to jeden Bóg wie. Ją związali, jak barana, i popędzili do gminy oddać ojcu, a jego powieźli do powiatu. A teraz każą mu drugi ślub brać w cerkwi!

- Chyba się na to nie zgodzi - wtrąciłem.

- To z twardego gatunku człowiek. Matkę jego tak nawracali z unii, aż umarła, ojciec siedzi do dzisiaj gdzieś na Syberii. To oporny z opornych. Wiedzą o tem dobrze, i słono zapłaci za swój ślub i przeróżnych bied się nasmakuje.

---

3 Mierzyn, mierzynek - koń roboczy.
4 Nieugięcie gotowy do poświęceń.
5 łowców dusz; jest to przytyk do strażników, szpiegujących unitów.
6 wyniuchać (gwar. lud.) - wywęszyć.

Rozgadali się i z wolna, prawie mimo woli, spokojnie i bez skarg, bez krzyków i jęku, jęli się wypowiadać przede mną ze swoich zwykłych, codziennych trosk; ze zwykłych, codziennych, systematycznych[7] znęcań się nad nimi; z kar, płaconych za wszystko: za ochrzczenie dziecka i za nieochrzczenie, za pogrzeby, odprawiane nocą, ukradkiem, za śluby i spowiedzie, za samo wejście do kościołów; z ciągłych udręczeń, prześladowań, wędrówek po sądach, komisjach i więzieniach; z wiecznych a daremnych poszukiwań sprawiedliwości; z tych nieskończonych nocy, spędzanych we łzach, i z tych dni wiecznego lęku, zgryzoty i cierpienia.

Znałem przecież ich życie, ale, słuchając tych cichych, monotonnie smutnych opowiadań, pełnych nieustającej walki, nieznanych bohaterstw, niezachwianej wiary i bezgranicznego poświęcenia, zdawało mi się, że gromada chrześcijan z czasów Dioklecjana[8] opowiada mi swoje krwawe, wstrząsające dzieje...

Ale tamci umierali tylko za wiarę, a ci giną i za ojczyznę...

(...)Po chwili ruszyliśmy w jakimś znowu niewiadomym dla mnie kierunku.

- Czy to jeszcze daleko? - spytałem jakichś cieni, przechodzących obok bryczki.

- Nie bardzo, za jakie dwa pacierze staniemy na miejscu.

Nie mogłem już dojrzeć gwiazd. Nad głowami tylko szumiały cicho drzewa i w leśnych mrokach rozlegały się przytłumione rozmowy i ciężkie odgłosy kroków. Jechaliśmy gęsiego i noga za nogą przez takie błota, topiele i trzęsawiska, że zaledwie w godzinę zdołaliśmy się przebrać na jakieś niewielkie wzgórze, dosyć rzadko porośnięte rozłożystemi drzewami, a otoczone nieprzebytem bagnem i wodami.

- Chwała Bogu, jesteśmy już na miejscu! - zawołał ktoś z radością.

Na wzgórzu płonęło kilkadziesiąt bujnych ognisk i wrzało, jak w ulu, a gdzieś w samym środku obozowiska chwiały się zapalone łuczywa i trzaskały siekiery.

- Stawiają ołtarz i co potrzeba - objaśnili mnie.

- A czy księża już są?

- Dopiero nade dniem przyjadą.

Dałem koniowi obroku i poszedłem między ludzi.

Dochodziła już trzecia i do świtu było jeszcze daleko, a że przy tem zimno przejmowało mnie coraz dokuczliwiej, więc dosyć długo włóczyłem się między gromadami, porozkładanemi dokoła ognisk, aż, spotkawszy znajomych chłopów, przysiadłem się do nich na gawędę i dopiero się dowiedziałem, że jesteśmy w Kolembrodzkich[9] lasach, które znałem tylko ze słyszenia.

- Sporo ludzi się zebrało! - zauważyłem, gdy rozmowa osłabła i zaczynali drzemać.

- Powinno być przeszło pięć tysięcy. A przyszli tylko sami wybrani, sami najbardziej

---

7 Systematyczny - ściśle według planu przeprowadzony.
8 G. Aureliusz Dioklecjan cesarz rzymski (284-305) przeprowadził w r. 303 najsroższe prześladowania chrześcijan.
9 Kolembród s. Królów dwór - wieś w pow. radzyńskim (woj. lubelskie)

potrzebujący księdza i nabożeństwa.

- A nie wytropią nas tutaj?

- Straże pilnują po wsiach najbliższych, po drogach i pod lasem, a reszta w Boskiem ręku. Nikt się tu nie dostanie, ani stąd nie wyjdzie bez pozwoleństwa! Droga przekopana i mosty pozdejmowane.

- A jakże dostaną się księża?

- Przez mokradła, ale takiem przejściem, o którem tylko wie stary Lewczuk Gęsi. On też po nich pojechał i przeprowadzi.

Rozmowa jednak rwała się coraz bardziej, gdyż moi sąsiedzi, poukładawszy się pokotem przy ognisku, zasypiali jeden po drugim, aż w końcu i ja okręciłem się szczelniej w burkę, przywarłem do najbliższych pleców i natychmiast zasnąłem.

Obudziły mnie pierwsze świtania i przeciągły krzyk jakichś ptaków, ciągnących długim sznurem nad lasami. Na szarem tle nieba czerniały niewyraźną masą wierzchoły drzew, a ziemię zasypywał sinawy brzask świtów. Było niezmiernie cicho, tak cicho, że słyszałem opadanie rosy i miarowe, niezliczone oddechy śpiących.

Poszedłem zajrzeć do swojego konia; całe obozowisko było jakby wymarłe, ludzie leżeli, pogrążeni w głębokim śnie, tylko chrapania rozlegały się tu i owdzie, a z przygasłych ognisk snuły się wiotkie pasma dymów. Przy wozach podnosiły się na mnie ciężkie, czuwające oczy, a ktoś rzekł:

- Już nadchodzą, panie! - i wskazał ręką na wschód.

Nad bezbrzeżnem morzem szarości dojrzałem tylko roztlewające zorze, i słychać było dalekie kwakania dzikich kaczek.

- Krzyczą, bo je spłoszyli. Tamtędy idą! Trzeba już ludzi budzić - dodał, powstając.

I wkrótce całe uroczysko, spowinięte jeszcze w mroki, zaledwie przesiane pierwszym świtem, pokryło się jakby mrowiem: tysiące ludzi poruszało się w brzaskach wybuchających ognisk, tysiące głów roiło się w blednących z wolna cieniach i wrzało trwożnym, przyciszonym gwarem, a co chwila tysiące rozpalonych spojrzeń podnosiło się oczekująco ku wschodowi.

Aż wreszcie po długiem, męczącem oczekiwaniu rozległy się wołania:

- Już są! Przyszli! Zbierać się! Pod ołtarz!

Dałem się porwać jakby falom, skłębionym gwałtownie, i zanieść na środek wzgórza, gdzie czerniał już z daleka ogromny namiot, zrobiony z kilimów[10].

Z wielu stron podniosły się krótkie i mocne rozkazy:

- Rozstąpić się! Kobiety i dzieci naprzód!

Usłuchano bez szemrania, i, gdy już kobiety z dziećmi ustawiły się przed samym namiotem, za niemi zwarła się wielkiem półkolem żelazna nawała chłopów, stanęli nieprzełamanym murem,

10 Kilim (z tureck.) - kobierzec, dywan domowej roboty.

ramię przy ramieniu i taką ciżbą olbrzymią, że nawet nie próbowałem przedostać się naprzód.

Tłum chwiał się i kołysał i niekiedy szemrał bełkotliwie, jak ten bór, stojący dokoła gęstwą szarzejących pni, gdy naraz zapadła śmiertelna cichość, jakby skamienieli wszyscy, a wszystkie serca się zatrzęsły.

Opadły bowiem nagle skrzydła namiotu, i jawił się z mroków wysoki ołtarz, cały w jarzących światłach i kwiatach, ponad którymi wychylał się zmartwychwstający Chrystus prawie nagi, skrwawiony, w cierniowej koronie i wyciągał ku rzeszom poprzebijane, ale przygarniające i pełne litosnego miłosierdzia ręce.

Palący wicher westchnień się zerwał i łzawy krzyk i jęk serdeczny:

- Chryste! Chryste! O Panie miłosierny!

Przycichło. Ksiądz w białym ornacie z monstrancją i kielichem w rękach wstępował z wolna po stopniach, urastał coraz bardziej, wynosił się ponad tłumy, aż zjawił się utęsknionym oczom cały w światłach, niby anioł, postawił złocistą monstrancję wysoko u stóp Chrystusa, przyklęknął i odwrócił się do ludu.

Jak źrały[11] łan, gdy weń wicher uderzy, tak pochyliły się kornie wszystkie głowy, i jednym ruchem i z jednem westchnieniem i uczuciem jednem tysiące padły na kolana. Ołtarz wznosił się, jakby świetlane widzenie, zawieszone gdzieś w mrokach. Rozpoczęto się nabożeństwo.

Niekiedy zabrzęczały dzwonki, niekiedy rozlegał się śpiewny głos księdza, i padały krótkie odpowiedzi ministrantów, niekiedy z rozkołysanej kadzielnicy rozpływały się pachnące dymy, i złocista monstrancja unosiła się nad pochylonemi głowami, a niekiedy zapadało głębokie milczenie, i było tylko słychać jakby szmer łez, nieustannie spływających po twarzach, gorące westchnienia, przesuwanie różańców i krótkie, urywane słowa pacierzy.

Modrawy świt roztrzęsał się nad uroczyskiem, niebo stawało się coraz jaśniejsze, z moczarów odzywały się kwilenia czajek i krzyki dzikiego ptactwa, bór się zakolebał, rozgędził[12] na chwilę i przycichnął i pochylony jakby się wsłuchiwał w rozdrgane szmery modlitw, w rozełkaną pieśń powstrzymywanych płaczów, skarg i jęków...

Szare mgły, wypełzłe z bagnisk, zaczęty pokrywać klęczących niby szronem, że całe to znieruchomiałe morze ludzkie widniało jakby pole, zorane w twarde i niezliczone skiby głów, ponad którem wynosiły się tylko światła ołtarza i Chrystus, wyciągający litościwe ramiona.

Tuż za mną posypały się ciche, prędkie i trwożne szepty:

- Podobno wojsko idzie na nas z Białej, kozacy i piechota!

- Jezus Maryja! Święty Józefacie!

- Dali znać ze szosy, jakiś Żyd im powiedział.

- Cicho, teraz nabożeństwo! - odezwał się ktoś karcąco.

- A niech przyjdą i niech nas wezmą! - podniósł się surowy, mocny głos.

11 Źrały (gwar., lud.) - dojrzały
12 Gędzić (gwar.) - grać

I ani jeden nie zerwał się do ucieczki, ani cienia przestrachu nie dojrzałem na żadnej twarzy, pomilkli natychmiast, a tylko tu i owdzie na mgnienie błysnęły oczy, zatrzęsły się wargi, a złożone dłonie zaciskały się w pięście, i modlili się dalej w głębokim spokoju i ufności. Byłem prawie pewien, że to fałszywa wiadomość, ale mimo to nie mogłem się uspokoić i bezwiednie oglądałem się na wszystkie strony, aż mi ktoś szepnął do ucha:

- To nieprawda! Niech się pan nie boi, a drugich nie straszy!

Mgły opadły, dzień rozlewał się pogodny i rzeźwy, moczary zadymiły, jak trybularze[13], bór zaszemrał porannym pacierzem do nadchodzącego słońca, i głośniej zaśpiewały ptaki, a w modrawem, zimnem świetle wyraźnie było widać gęstwę niezliczoną głów, zatopionych w żarliwej modlitwie, wzniesione w zachwyceniu ręce, anielskie uśmiechy, twarze wniebowzięte, oczy, pełne niezgłębionego uniesienia, rozchylone i oniemiałe w ekstazie usta, że już wszystkie dusze zdawały się omdlewać z nadmiaru czucia i płynąć jakby w jakieś raje niewysłowionej szczęśliwości.

Dosyć czasu upłynęło w takiej modlitewnej ciszy i skupieniu, gdy zaroiły się wśród klęczących zapalone świece i zawrzały naraz wszystkie dzwonki. Zaczęło się podniesienie, a kiedy ksiądz wzniósł wysoko monstrancję, runęli wszyscy na twarze, zerwały się szlochy, westchnienia i krótkie, rozpalone krzyki, przenajświętsze głosy serc, padających w proch przed Bożym majestatem.

- Niech teraz przyjdą i spróbują brać! - odezwał się ktoś z boku, gdy znowu spłynęło milczenie na pochylone kornie głowy.

Nie było czasu na odpowiedź, bo ksiądz, ledwie już dojrzany w kadzielnych dymach i brzaskach świateł, odwrócił się do ludu z monstrancją i donośnym, dźwięcznym, jak dzwon, głosem zaintonował suplikacje[14].

Nigdy w życiu nie zapomnę tej chwili. Lud powstał z klęczek, pochwycił żarliwemi ustami świętą melodię i zawtórował takim wstrząsającym głosem, aż zadrżały drzewa i rosisty grad posypał się na głowy.

Śpiewali jakby zapatrzeni w złociste blaski monstrancji, czy też we własne dusze, nie wiem, wiem tylko, że te głosy tysięcy były jednym, jak świat, ogromnym głosem, były pieśnią milionów, były wołaniem najtajniejszych głębin człowieczych, były żalnym jękiem przyziemnego bytu u bram nieśmiertelności, były krzykiem ziemi zapomnianej do Boga, do Boga miłosierdzia i miłości.

Każda dusza zawodziła przed Panem gorzką pieśń życia; każda dusza skarżyła się żałosnym płaczem i każda dusza żebrała o zmiłowanie.

Niby krze[15] ogniste, wybuchnęły serca i śpiewały całą nieukojoną męką, wszystką wiarą, wszystką miłością i wszystką mocą żywota śpiewały. Huragan[16] głosów odrywał się z wolna od ziemi, bił w niebo, huczał coraz potężniej i rozlewał się coraz ogromniej, jakby ponad całym

---

13 Trybularz - ręczna kadzielnica kościelna
14 Suplikacje (z łac.) - kościelna pieśń religijna; «Święty Boże»
15 Kierz, l.m. krze - krzak.
16 Huragan - gwałtowny wicher, burza z wichrem.

światem, jakby już wraz z nimi śpiewały wszystkie bory, i ziemie, i wody, i nawet to słońce, które wyzierało czerwoną źrenicą, i stwór wszelaki...

Dopiero po skończeniu mszy pomilkły i śpiewy. A po krótkim odpoczynku i po przybyciu paru księży, najdziwaczniej poprzebieranych, rozpoczęła się właściwa praca misyjna. I cały dzień ołtarz jarzył się zapalonemi świecami, cały dzień oblegały go tłumy rozmodlonych i cały dzień, prawie bez przestanku, księża nauczali, słuchali spowiedzi, komunikowali, dawali śluby i chrzcili.

Przeszło pięć tysięcy osób czekało na to z upragnieniem.

Byli tacy, którzy dwadzieścia mil przyszli, przekradając się lasami, jak wilki.

Byli tacy, których chrzczono, dawano im śluby i zarazem chrzczono ich dzieci.

Byli tacy dorośli, żonaci, dzietni, a którzy po raz pierwszy w życiu widzieli mszę.

Byli i tacy, a takich znajdowało się najwięcej, którzy za każdą mszę wysłuchaną, za każdą spowiedź, za ochrzczenie każdego dziecka, za wzięcie ślubu, za polski pacierz i za polską książkę brali kije, płacili kary i całe miesiące przesiedzieli w więzieniach.

A jednak wszyscy przetrwali!

Cisi, prości, spokojni, wierni, a niezłomni i niezwyciężeni.

Taki jest, panie, nasz lud na „Czerwonem Podlasiu".

Skała, w którą przez czterdzieści lat biły całe huragany piorunów i nie zmogły, przetrzyma i wyodrębnienie Chełmszczyzny[17], i nowe prześladowania; przetrzyma wszystko i wszystkich..."

Dla pełności obrazu opowiem jeszcze, chociaż tylko w streszczeniu, dzieje unickiej wioski Hrud, położonej niedaleko Białej Podlaskiej, na drodze do Janowa.

Hrudy najwcześniej na Podlasiu, bo jeszcze w roku 1867, wzięły pierwsze cięgi za uparte trwanie przy unii. Było to wtedy, kiedy „Misja Bialska" jeszcze prywatnie, jakby tylko z apostolskiej gorliwości, próbowała oczyszczać cerkiew unicką z polskich i łacińskich naleciałości. Nieszczęściem dla Hrud było to, że leżały za blisko owej „Misji", musiały się więc stać jakby polem doświadczalnem dla siewców „czystej i jedynej prawdy". Ale grunt okazał się dziwnie jałowy i, pomimo bardzo obfitego umierzwiania krwią, nie wydał oczekiwanych plonów. A nawet przeciwnie, gdyż stał się źródłem zaraźliwej gorączki „uporstwa", jaka wkrótce ogarnęła całą Chełmszczyznę.

Zaczęło się, jak odtąd miało się już zaczynać na Unii, od wyrzucania z cerkwi polskich śpiewów, kazań, organów, świętych obrazów i dzwonów.

Ale lud natychmiast przywrócił cerkiew do dawnego stanu i śpiewał dalej po polsku, bo tylko polskie kościelne pieśni umiał, modlił się przed obrazami, słuchał ze wzruszeniem organowych

17 Po ukazie tolerancyjnym w r. 1905 lud chełmski gromadnie porzucił prawosławie. Mszcząc się na unitach za tę wierność ich względem Kościoła Katolickiego, rząd rosyjski obmyślił i przeprowadził w parlamencie petersburskim, czyli tzw. dumie, akt prawodawczy, zwany wyodrębnieniem Chełmszczyzny, polegający na wydzieleniu tej ziemi z Królestwa i przyłączeniu jej do cesarstwa rosyjskiego.

głosów i polskich kazań, bo tak było za jego dziadów i pradziadów, bo tylko takie nabożeństwo rozumieli; albowiem te śpiewy, kazania, obrazy, procesje wśród bicia dzwonów, kadzielnych dymów i brzmiących organów były i są jakby organiczną częścią jego wierzeń religijnych, jego wzruszeń serdecznych i jego umiłowań.

Nie obroniło to ich od nowego zamachu na cerkiew, gdyż w lipcu tegoż roku próbowano narzucić im nowego, posłusznego proboszcza.

Przywiózł go sam Marceli Popiel[18], prawie już biskup chełmski, w towarzystwie błogoczynnego[19] Kalinowskiego i sporego orszaku kozaków, dla uświetnienia uroczystości.

Ale lud otoczył cerkiew nieprzebytym wałem i nie wpuścił do niej nikogo.

Nie pomogły długie i żarliwe namowy; lud nie dał się przekonać i nie ustąpił.

Popiel odjechał rozgniewany i groził strasznemi karami za nieposłuszeństwo.

Chłopi czuli, co ich czeka, i z determinacją[20] pochylali głowy przed Dolą.

Jakoż w końcu września zjawiła się we wsi sotnia kozaków, a za nimi przymaszerowała rota[21] piechoty i rozkwaterowała się po chałupach.

Całe dwa miesiące zabawiali się na koszt Hrud.

I przez całe dwa miesiące wszyscy, którzy posiadali konie, musieli jeździć na podwody[22] po całym powiecie, a reszta mieszkańców była pędzona od świtu do nocy na drogi, do zgarniania kamieni i błota, kopania niepotrzebnych rowów i wysypywania żółtym piaskiem głównego gościńca.

A tymczasem pola leżały odłogiem, nie było czasu ni orać, ni siać, ni nawet wykopać ziemniaków, które gniły, gdyż jesień była wielce mokra, wieś niszczała coraz bardziej, inwentarze dawały szyje pod nóż sołdacki, stodoły pustoszały, bo kozacy paśli swoje konie tylko czystem zbożem, płoty szły na ogień, a skoro ich zbrakło, to i drzwi z chałup, i pomniejsze budynki, i nawet drzewa ze sadów.

I na zakończenie Hrudy zapłaciły jeszcze kontrybucję[23], kilku gospodarzy poszło na parę miesięcy do więzienia, a dawnego proboszcza, księdza Terlikiewicza, wywieziono.

Wreszcie wieś odetchnęła, goście odeszli, parę lat przeszło spokojnie, a tylko w ciężkiej pracy dorabiano się, jakby po strasznym pożarze.

Cerkwi jednak wciąż strzegli, jak oka w głowie, straże czuwały dzień i noc.

W roku 1871, w sam dzień „Zwiastowania”, zjawił się najniespodzianiej nowy, „ukazowy”[24]

---

18 Marceli Popiel, ksiądz unicki z Galicji, sprowadzony został przez rząd rosyjski do Królestwa, gdzie odstępca ten zasłynął, jako najgorliwszy i najzacieklejszy prześladowca porzuconej przez siebie wiary oraz polskości; on to nakazał odprawianie nabożeństwa na wzór prawosławnego.
19 Błogoczynny - dobroczynny; tu oznacza tytuł duchownego prawosławnego.
20 Determinacja (z tac.) - stanowczość, silne postanowienie.
21 Rota (z niem.) - oddział.
22 Podwoda - wóz z końmi, oddany z nakazu rządowi do rozporządzenia.
23 Kontrybucja - podatek, nałożony za karę.
24 Ukazowy (przym. od «ukaz» - dekret, rozporządzenie carskie) - przysłany zgodnie z ukazem.

proboszcz, niejaki Starosielec, w towarzystwie błogoczynnego Kalinowskiego, i gwałtem chcieli zawładnąć cerkwią, lecz chłopi znowu ją otoczyli lasem roztrzęsionych pięści i groźnie krzyczeli:

- Jeżeli nie wróci ksiądz Terlikiewicz, to innego nie potrzebujemy.

Wobec ich zdecydowanej postawy Starosielec wyniósł się bardzo pośpiesznie.

Ale nazajutrz powrócił w licznej asyście[25] strażników.

I porę wybrali sobie najodpowiedniejszą, bo po południu, kiedy wszyscy ludzie byli przy żniwach daleko za chałupami, a we wsi zostały tylko dzieci i starce, drzemiące po sadach. Na szczęście ten, który stróżował przy cerkwi, zobaczył całą kawalkatę[26], wyjeżdżającą z lasów, i poczuwszy niebezpieczeństwo, zaczął dzwonić na trwogę.

Na polach podniósł się straszny wrzask i lament; kto tylko żył, chwytał, co mu tylko wpadło w garście, i leciał na obronę.

Tamci zaś, zrozumiawszy, że ich spostrzeżono, pędzili do wsi, co tylko konie miały tchu, prędzej dopadli kościelnego cmentarza i zaczęli łamać wrótnie, ale nie zdążyli jeszcze dostać się do środka, gdy chłopi runęli na nich z ogromnym krzykiem i rozmietli, że uciekali chyłkiem, opłotkami, jak spłoszone jastrzębie.

Starosielec nie dał jednak za wygraną i w parę dni później znowu powrócił, ale już w otoczeniu całych dwóch sotni...

Wchodzili do Hrud tryumfalnie, z muzyką i śpiewami, od których chłopom cierpła skóra i, chociaż się żegnali rozdygotanemi rękami, stanęli jednak nieulękle w obronie swojej cerkwi, tylko że opór trwał już bardzo krótko: szarża, piki, naboje, końskie kopyta wnet utorowały drogę „narzutowi”[27], który też ostatecznie objął parafię w swoje posiadanie, a wojsko rozłożyło się, starym zwyczajem, po chałupach i odpoczywało przez całe ośm tygodni.

A kiedy wreszcie odeszli, to w Hrudach nie zostało ani jednych całych pleców, ani jednej szyby, płota i drzwi, a w każdej chałupie był szpital i sieroty, gdyż pięciu gospodarzy wraz z rodzinami popędzono w ślady księdza Terlikiewicza.

Nastąpiło parę lat przerwy; pogoiły się plecy, wyrównały się szczerby w dobytku, obeschły nawet łzy, nie zginęła tylko pamięć o wywiezionych, ich puste, pozabijane deskami chaty i pola, leżące odłogiem, których się nikt nie poważył tknąć, leżały wciąż na oczach, i były niby niemy krzyk wiecznie pamiętnej krzywdy!...

Nadszedł 1874 rok, pamiętny na zawsze, rok zniesienia unii.

Naturalnie, że nie zapomniano i o Hrudach. Nawracano je przez cały tydzień, i przez cały tydzień brzmiały apostolskie napomnienia, przeplatane świstem nahajek i jękami.

Siew był żarliwy, żniwo znojne, omłot pracowity, ale plon niezmiernie lichy...

Hrudy nie dały się nawrócić z odwiecznych błędów i pozostały zatwardziałe

---

25 Asysta (z łac.) - orszak, otoczenie, świta.
26 Kawalkata a. kawalkada (z włosk.) - orszak, towarzystwo konne, gromada
27 Narzut (mało używany) - natręt, intruz.

„uporstwujuszczymi”[28], ale zapisano je do panującego Kościoła i pozostawiono pod opieką praw specjalnych i strażników.

Życie toczyło się zwykłą koleją, puste chałupy wciąż czekały na swoich gospodarzy, sieroty na ojców, a pokrzywdzeni na sprawiedliwość; siano jednak, orano i sprzątano, jak zwykle, tylko że wieś stała się podobna do cmentarza, nikt już nie zaśpiewał, nie tańczył i nie weselił się, zapomnieli się nawet śmiać; ludzie przesuwali się, jak cienie, bladzi, wynędzniali, śmiertelnie smutni i przeżarci nędzą i cierpieniami, a zawsze gotowi na nowe cierpienia i nowe ofiary dla sprawy.

Z cerkwią i plebanią przerwały się wszelkie stosunki, odwrócili się od nich na zawsze, bo tam już panował obcy język, obca wiara i ludzie obcy; niczyja noga już nie postała nawet na przycerkiewnym cmentarzu.

Modlili się po domach, skrycie, albo po lasach, gdzie zbierano się na uroczyste nabożeństwa, dzieci chrzczono tylko z wody, tymczasowo, zmarłych grzebano po kryjomu, nocami, starannie równając mogiły z ziemią, żeby ich strażnik nie dostrzegł i nie nakazał pochować nieboszczyka po raz drugi, a według nienawistnego im obrządku; małżeństw nie zawierali dla tych samych powodów, ślubów tzw. „krakowskich”[29] jeszcze wtedy nie było. Narzuconej im cerkwi nie chcieli, a do kościoła nie było wolno, czekali więc ufnie i cierpliwie na odmianę strasznego losu, znosząc tymczasem tysiączne przykrości od władz.

Żyli pod ciągłym strachem i groźbą, zdani na łaskę i niełaskę strażników, żyli, jakby wyłączeni ze społeczności, niby stado dzikich zwierząt, odgrodzone od świata i ludzkiego życia nieprzebytym gąszczem praw, zakazów, sztrafów i więzień.

A pomocy nie było znikąd. Przed „opornym” zamykały się wszystkie drzwi, uciekano przed nimi, jak przed zadżumionymi, wypędzano ich nawet z kościołów, strach szedł przed nimi, a czujne oczy za nimi. Ale, chociaż rany bolały ich podwójnie, chociaż jadła ich nędza, sztrafy odbierały ostatni kęs chleba, prześladowania gnębiły, chociaż odstąpili ich ludzie, walczyli jednak dalej w ponurem osamotnieniu, walczyli do ostatniego tchnienia o prawdę umiłowaną, dla której już znieśli wszystko i wszystko jeszcze byli gotowi przecierpieć.

Tak przeszło do 1876 roku, w którym na Hrudy zwaliło się nowe, chociaż już od dawna groźnie wiszące nieszczęście. Pewnego bowiem dnia przy końcu marca przyszedł surowy rozkaz, aby natychmiast sprowadzono do cerkwi wszystkie dzieci, dotąd jeszcze nie chrzczone. Jakby piorun trzasnął z jasnego nieba; wieś zawrzała, krzyk trwogi poniósł się po chałupach, płacz i lamenty zakwiliły żałośnie, ludzie biegali, jak oszaleli, nie wiedziano, co począć, załamywano bezradnie ręce, mróz przejmował kości, a strach dygotał każdem sercem, jeszcze bowiem na wsi pełno było śladów „dawnego”, jeszcze niektórzy mieli nie zagojone rany, jeszcze domy po wysłanych stały pustkami...

„Co robić? Co robić?” - trzepotały się trwożliwe, załzawione szepty.

---

28 Po rosyjsku - opornemi.

29 Unici przekradali się przez kordon do Galicji i tam brali śluby i chrzcili dzieci. Takie chrzty i śluby zwano powszechnie krakowskiemi.

Nikt nie umiał odpowiedzieć, ale też nikomu ani postało w głowie, żeby usłuchać rozkazów. Tyle lat się opierali, tyle kar zapłacili, tyle się nacierpieli, a teraz mieliby się zgodzić dobrowolnie, mieliby oddać dzieci na wieczną zatratę?...

Włosy powstawały ze zgrozy, zaciskały się pięście, jęk rozdzierał zgnębione serca, lecz równocześnie rodził się w tych bohaterskich duszach niezłomny opór, podnosiły się dumnie czoła, i oczy zaczynały nieulękle patrzeć na zbliżającą się znowu niedolę...

I bez wrzasków, bez długich namyślań porozumieli się prawie w mgnieniu oka, i wszyscy już poczuli to jedno: że dzieci w cerkwi ochrzcić nie pozwolą, chociażby im za to przyszło zapłacić życiem...

A zaledwie się porozchodzili po domach, gdy na kilku wozach przyjechali strażnicy z wójtem na czele, aby dopilnować spełnienia rozkazów.

Cerkiew już czekała otwarta, więc wójt wraz z całą swoją kohortą[30] chodził po wsi, wyczytując z listy, ile dzieci powinni wyprowadzić z każdej chałupy.

Cała wieś wyległa przed domy, chłopi drapali się frasobliwie po głowach i słuchali w milczeniu, kobiety stały po progach z dziećmi na rękach i również się nie odzywały, były tylko dziwnie blade, zgorączkowane i patrzały, jak rozjuszone wilczyce, ale po przejściu wójta, i gdy chłopi pociągnęli za nim, zniknęły gdzieś bez śladu, a chałupy zawierały się spiesznie, cicho i jedna po drugiej...

Wójt się naraz obejrzał i, ujrzawszy samych mężczyzn, zawołał:

- A gdzież baby? Gdzie dzieci?...

Ponure ciężkie spojrzenia posypały się na niego jakby kamiennym gradem.

Nie pytał już więcej, a tylko zaczął kopać w pierwsze lepsze drzwi a ryczeć:

- Wychodzić! Wychodzić, bo za łby wszystkie was powyciągam!

Tylko pieski zaszczekały mu w odpowiedzi, ale ani jedna głowa się nie ukazała; domy stały jakby wymarłe i opuszczone, a wszystkie okna i drzwi miały pozamykane od środka.

Krzyknął na chłopów, żeby otwierali; nikt się nawet nie poruszył, a tylko któryś wyrzekł posępnie:

- Niech je pan wójt sam sobie otwiera!

Rzucił się z wściekłością na jakieś okno i odskoczył ze skowytem, jak pies od jeża, bo dostał ukropem w twarz, więc, ledwie dysząc z gniewu, rozkazał brać domy szturmem, jak fortecę.

Niełatwo to jednak poszło, gdyż okna i drzwi były zatarasowane od wnętrza skrzyniami, szafami i czem się tylko dało, a kto się bliżej podsunął, brał kijem, wrzątkiem lub pięścią.

Chłopi stali na środku drogi, przypatrując się wszystkiemu z wielką cierpliwością...

Chałupy aż się trzęsły od wrzasków, kobiety walczyły, jak lwice, odpierając szturm za

30 Kohorta (z łac.) - oddział piechoty w Rzymie starożytnym; tu - w znaczeniu gromada, oddział strażników rosyjskich.

szturmem; co chwila rozlegały się ryki bólu, przekleństwa, straszliwe płacze dzieci, trzask pękających desek, brzęk tłuczonych szyb, szczekanie psów i huki belek, któremi wybijano drzwi, niby taranami, że rozlatywały się w drzazgi.

A kiedy wreszcie przełamano pierwsze przeszkody, wdarto się do niskich, ciemnych sieni, zawrzała ręczna walka, i wybuchały dzikie wrzaski, broniły się bowiem coraz zajadlej i coraz rozpaczliwiej.

W końcu zdobyto parę chałup, ale wszystkie kobiety momentalnie pochowały się wraz z dziećmi w kominy i piece od chleba, że musiano zdobywać każdą z osobna.

Broniły się już zębami i pazurami, gryzły i drapały, a oszalałe rozpaczą, pijane walką, podarte, jak łachmany, okrwawione, zbite, całe w ranach i sińcach, walczyły wciąż z jednakiem męstwem, niby wilczyce, opadnięte przez rozjuszone ogary.

Lali je wodą, rzucali w kominy zapaloną słomę, żeby je wykurzyć dymem, jak lisów, próbowano wyciągać nawet bosakami[31], ale nic nie pomogło.

Przetrzymały wszystko!

Musieli je odstąpić, gdyż noc się już robiła, i chłopi przybierali coraz groźniejszą postawę.

Wójt zagroził wsi strasznemi karami za opór i odjechał z całem towarzystwem.

Cerkiew zamknięto, wszystko wróciło do dawnego, i na razie zapanował spokój.

Nie na długo jednak, bo już w początkach kwietnia, któregoś dnia na samem świtaniu, zahuczał nagle dzwon na trwogę, i rozniosły się złowrogie krzyki:

- Wojsko idzie! Ratuj dzieci, kto w Boga wierzy!

Przy kołowrocie już zabrzmiały warkoty bębnów, szczęki broni i ciężkie, marszowe tupoty.

Taki huragan przerażenia zwalił się na ludzi, jakby pożar ogarnął całą wieś; i nie było już żadnego ratunku, wypadali z chałup nieprzytomni, a chociaż strach porywał za włosy i trwoga wyła w sercach, stali w jakiemś nagłem skamienieniu i patrzyli ślepemi oczami na długą kolumnę wojska.

Śmiertelna cisza opadła, nikt nie śmiał się poruszyć, byli jakby sparaliżowani, ale, kiedy zdawało się, że już wszystko przepadło, serca matek przemówiły: pozbierały dzieci, ogarnęły je naprędce i, jak która stała, boso i w koszulach, zaczęły się niepostrzeżenie wymykać do sadów, potem chyłkiem za stodoły, potem w pola i przepadły w szarudze i w skołtunionych świtowych mgłach.

Wojsko zajęło wieś, i wyszedł rozkaz, aby wszystkie kobiety z dziećmi zebrały się pod cerkwią. Naturalnie nie zjawiła się ani jedna; były już w bezpiecznem schronieniu.

- Ale gdzie się podziały? - pytano groźnie, przetrząsając dom po domu.

Chłopi milczeli, niepodobna było wydobyć ani słowa.

- To poczekamy, aż powrócą! - powiedział dowódca, i wojsko rozłożyło się po chałupach.

---

31 Bosak - drąg z ostrzem żelaznym i z hakiem na końcu.

Dopiero po śladach zrozumiano, gdzie się schroniły; otoczyli więc las patrolami, przecięto komunikację ze wsią i srogo pilnowano, żeby nikt nie wynosił im żywności.

Byli pewni, że rychło je przypędzi głód i zimno.

- Kwoczki podmiękną i wrócą na grzędy! - podkpiwali żołnierze.

Ale przeszedł dzień, dwa, trzy - nie powróciły. A wieś szarpała się w strasznej trwodze i niepokojach, robota leciała z rąk, poruszali się nieprzytomnie, boć wszystkie oczy wciąż wisiały na chmurze borów, boć wszystkie dusze rozdzierała rozpacz bezsilności, więc tylko płakano z wściekłości, modlono się żarliwie i czekano jakiegoś cudu.

Przeszedł cały tydzień, i nie powróciła ani jedna.

Bór stał czarny, ogromny, niezgłębiony, a pod jego wyniosłemi ścianami błyskały gęsto najeżone bagnety.

Wiosna tego roku była dziwnie mokra, zimna i wietrzna; co dzień szły nieskończone szarugi, co dzień wichry z dzikim, rozżartym skowytem spadały na wieś, przewalały się po polach i biły w bory, które szamotały się tak rozpaczliwie i wyły tak przejmująco, że ludziom się wydawało, jako słyszą w tych jękliwych poświstach bolesne zawodzenia kobiet, płacze dzieci, a nawet mrożące krew wołania konających.

A niekiedy, gdy przychodziły spokojne noce i księżycowa poświata zalewała omglone pola i las stał przelśniony, cichy i zadumany, to niejeden byłby przysięgał, że widzi między pniami białe widma, które wyciągają błagalnie ręce i coś krzyczą, i czegoś się skarżą, i czemuś się żalą...

Przeszedł drugi tydzień, nie powróciły!

Dnie już szły niewypowiedzianie przykre, wlokły się nudnie i ociężale, sączyły się, jakby palące żałością łzy. Pora była robót wiosennych, pola krzyczały o pługi, o ziarno, ale miał to kto głowę do roboty, kiedy troska wypijała każdą myśl i moc wszelką! Nawet sen nie przynosił ukojenia, bo noce schodziły na rozgorączkowanem oczekiwaniu, bo, co tylko wiatr tknął okien, to się już zdawało każdemu, że się ktoś pod ścianami przemyka, że ktoś puka, że ktoś nadchodzi.

Przeszedł trzeci tydzień, nie powróciły.

Na świecie zaczęło się nieco wypogadzać, i przy końcu kwietnia zdarzały się już dnie cieplejsze i słoneczne; puszczały się trawy, ruszały oziminy, pękały drzewa, kaczeńce obsiadały łąki, ptactwo zaczynało krzyczeć po sadach i gąszczach, rankami klekotały bociany, a skowronki całe dnie dzwoniły pod jasnem, czystem niebem, wiosna szła wszystkim światem i śpiewała coraz potężniej swój hymn nieśmiertelny, ale nie widziały jej oczy, zaropiałe od nieustannych, gorzkich łez, nie czuły jej dusze, przegrzane męką, i nie było jej po chatach, pełnych tylko płakania, żałoby i beznadziejnego smutku.

Przeszedł czwarty tydzień, nie powróciły!

Ludzie słaniali się, jak cienie, poschnięte od gorączki, a wieś stała się nie milknącym lamentem pieśni pogrzebowej; co dzień wieczorem w każdej chałupie paliły się gromnice i odmawiano

modlitwy za konających, a długo w noc biły ku rozgwiażdżonemu niebu płacze serdeczne, biły żebracze prośby, biły westchnienia, przejęte wiarą i ufnością...

Przeszedł piąty tydzień - nie powracały...

Wieś dochodziła już do szaleństwa, wielu rzucało się prosto na bagnety, aby się przedostać do lasów i raczej umrzeć, niźli dłużej znosić to straszliwe oczekiwanie, ale żaden nie przerwał tej żelaznej obręczy i wracali jeszcze bardziej smutni i udręczeni.

Przeszedł szósty tydzień - nie powróciły!

Wreszcie i wojsko miało już dosyć tego oczekiwania i wymaszerowało z Hrud.

Wtedy cała wieś, jak jeden człowiek, rzuciła się na przełaj do lasów, a jeszcze nie dobiegli, gdy z mrocznych głębin zaczęły się pokazywać jakieś mary; szły zgarbione, o kijach, prawie nagie, wynędzniałe, rozkudlone, sczerniałe, podobne do szkieletów, ale radosne, jak słońce, jak wiosna, tryumfujące, i, jak samo życie, niezwyciężone!...

Zwalczyły głód, strach, opuszczenie, zimno i choroby; zwalczyły samą śmierć, ocaliły dzieci, i oto wracały te wielkie, te bohaterskie, te święte dusze w domowe progi, do codziennego trudu i do codziennej walki.